

SPRAWY KOBIECE

Redaktor odpowiedzialny: MARJA SZMANDZINA, GRUDZIĄDZ

Zielone święta.

W Zielone Święta
Lśni ziemia uśmiechnięta,
Stroił ją na te gody
Odświeżnie sam maj młody.

W polu, lesie gaju,
Świeżego pełno maju,
Aż gnie się od zieleni,
Od kwiatów aż się mieni.

Pójdę ja wrzesz po łące,
Gdzie kwiaty te minące,
Gdzie w modrym stawie z bliska
Tatarak z wody tryska.

Gdzie w gaju w ranną ciszę
Krzew barwny się kołysze —
Tam uszczknę plon bogaty
Na ołtarz i do chaty.

W kościele ze zwyczaju
Majowo niby w gaju.
A w chacie kwiatów wiązki,
Tatarak i gałązki.

Zapachy zewsząd wioną,
Zielono, hej zielono!
Pod strzechą jakby w gaju,
A w sercu niby w raju...

Bożydar.

R. Y.

Kobieta w dawnej Polsce.

Kobieta, żona i gospodyni.

Wasilewski twierdził, że dawna Polska najsilniej opierała się na rodzinie; i tak też istotnie było — przeważna część obowiązków, które powinno było dźwigać państwo, spadała na rodzinę, która je rzeczywiście spełniała wzorowo. — Związana wewnętrznie „poczciwością i karnością“, przechowująca z pietyzmem tradycję, spełniała w społeczeństwie rolę hamulca i bodźca, i społeczeństwo się z nią rachowało. — Przedewszystkiem zaś była silną etycznie; wszystkiego mógł się dopuścić „infamis“, ale nigdy się nie ośmielił przestąpić progu „pocziwego domu“ polskiego, nigdy się nie zdobył na podobne zuchwałstwo.

To też ogromny miała polska rodzina wpływ i znaczenie w dawnej Polsce, — a w tej rodzinie stanowiła żony i matki było naprawdę poważne i dostojne — porównać by można stosunek ten, jedynie do stosunku, jaki panował u pierwotnych rzymian odnośnie do kobiety — a który był oparty na głębokim szacunku; rzymska matrona stoi na czele gospodarstwa domowego, i zajmuje się wychowaniem dzieci; stanowisko jej jest już przez to samo wybitne i szanowane, jest ona jedyną panią domu, stojąc na równi z mężem.

Podobnie jest i w dawnej Polsce — wpływ kobiety

jest naprawdę wielki; nie traktuje jej się jako istoty niższej, niezdolnej do duchowego współzycia z mężem. — Żona „klejnot drogi“ — żona „miły i wdzięczny, a równy (!) tobie towarzyszy“ — żona „ozdoba mężowi“ — żona „głowy korona“, — oto zwroty, jakie spotykamy u starych poetów i pisarzy, poczynając od Jana Kochanowskiego i Mikołaja Reja, a skończywszy na najpóźniejszych, — lecz nie były to tylko czcze słowa i poetyckie uniesienia — była to prawda, która potwierdzała najbardziej prawne i realne źródła, jak akta sądowe, zapisy, testamenty, intercyzy, jak listy rozliczne i pamiętniki. —

Charakteryzuje ówczesny układ stosunku do kobiety przedewszystkiem to, że żonie daje mąż zwykłe nazwę przyjaciela, a więc uznaje tem niejako, że jest istotą jemu równą, która niezależnie od warunków, urody zewnętrznej i młodości, może być mężowi doradcą i towarzyszem — wiernym i oddanym; co więcej, mąż wymaga od żony nie tylko sentymentu i uczucia, ale siły i rozumu. —

I dlatego to dawny polak „przyjacielem“ mianował żonę, a spotyka to się we wszystkich warstwach. Janusz Radziwiłł, prosząc króla Władysława IV o pomoc w uzyskaniu ręki panny Potockiej, zaklina go, żeby nie odmówił, „bo tu nie o urząd chodzi, ale o wiecznego przyjaciela“.

Jerzy Ossoliński, starając się o Danilowiczównę według słów własnych „szuka przyjaciela, jako najdroższy skarb i największe po lasce Boskiej błogosławieństwo“; Franciszek Sapieha w. litewski, w testamencie swoim żegna „najmilszego po Panu Bogu przyjaciela, małżonkę Annę z Lubomirskich“; ks. Albrecht Radziwiłł, rzekając się mimowoli ręki wojewodzianki sandomierskiej, którą poślubił jego synowiec, powiada, „że odstępuje mu od Boga naznaczonego przyjaciela“, a wojewoda miński, Krzysztof Zawisza, powiada w swoich pamiętnikach, że „cokolwiek ma reputacji u świata — i błogosławieństwa u Boga, ma to z osobliwej łaski Opatrzności, że mu dał przyjaciela, Teresę Tyszkiewiczównę.

To właśnie nazwanie, samo w sobie było najpiękniejszym wyrazem emancypacji kobiety.

Obok wszystkiego innego, stanowisko kobiety w dawnej Polsce, umacniało jej stanowisko czysto gospodarcze — jakiegoż bowiem zapasu energii niezwykłej, cierpliwości, sprytu i pracowitości, musiała użyć kobieta — pani i gospodyni, aby podolać obowiązkowi, jakie wkładał na nią dom i jego prowadzenie. — Miast wielkich było bardzo mało, a male miasteczka mizerne, i to kilka lub kilkanaście razy do roku odbywały się tam jarmarki. — Ale komunikacja była ogromnie utrudniona; osławione „polskie drogi“ były chronicznie w stanie godnym pożałowania, a w pewnych miesiącach wprost nie do przebycia. — Wszystko zatem musiało się robić w domu; to też w każdym większym dworze musiał być szewc, krawiec, tokarz i kowal. W każdym niemal domu, palono własną gorzałkę, warzono piwo i nalewki. Kuchnię i stół zaopatrywano na miejscu i nie jedzono tego, czego nie mógł dostarczyć ogród, pole i obora.

Największą dumą pani domu była spiżarnia i apteczka. Apteczka musiała w razie wypadku starczyć za doktora; zawierała ona najprzeróżniejsze leki, preparowane zazwyczaj w domu z rozmaitych ziół polnych, ogrodowych i leśnych. Sadzono też umyślnie koło domu zióła w tak zwanych „wirydazykach“ z których, jak mówi Zawacki, gospodynie „sok, olejek, cukier, wódka, ocet i konfekt do swej apteczki robić ma“.

Najpocześniejsze miejsce w apteczce zajmowała gwa sławna „drjakiew“ (theriacum coelestis), generalny medykament na wszelkie przypadłości — cudowny lek wenecki, w którego skład, według powszechnego mniemania, wchodziło 64 najprzeróżniejszych i najdroższych ziół — a nawet cząstka skóry węża, tego samego rodzaju, co wąż pod krzyżem Zbawiciela.

Obok zaś apteczki, a właściwie na równi z nią, największą pieczołowitością pani domu cieszyła się spiżarnia, czyli tak zwana „podruna“, chłodne i suche schowanie koło piwnicy, w której według słów Mikołaja Reja piętrzyły się „te wszystkie nadobne pożyteczki, które gospodyni bez wielkiej pracy, a na poły z krotofilą może uczynić“, kasze najrozmaitsze, manny, o których już wieść zginęła; tarczana, kilkora, pszena, ościana, żytna, jajeczna; małdrzyki przypiekane, placki, osuszki, kapie, suche ryby, udzce pieczone i marynowane, — „takie rzeczy — mówi jeden z pisarzy — że ich nie mało dać można nieuwarzonych na talerze“, dalej konfekty, jako gruszki, orzechy włoskie, brzoskwinie itd. w cukrze, miodzie, przeróżne potrawy „wiatrem i słońcem wędzone“, śliwy węgierskie w wiązankach słomianych i „świnie w równiankach na słońcu suszone“, octy winne, miodowe, piwne, agrestowe, jabłeczniaki, gruszczeniaki, wiśniaki i wiele innych smakołyków, których i zliczyćby nie nadążył, — a wszystko roboty domowej, „bo tylko to Polsce przystało, co się w Polsce rodzi“.

W domu też wyprawiała się na surowo skóra, męły się krupy i maki, wylewało się świece, gotowało miodo, syciło miodo, tłoczono woski, suszono mięso — sporządzało leki i atrament, słowem wszystko, co mogło być potrzebne, nawet proch strzelniczy. — Trudno sobie poprostu pomyśleć, żeby wszystkim tym czynnościom podołać mogła kobieta. Wszystkimi trzeba było zarządzać, zaradzić i przypilnować, by na czas było wykonane. Służby było zwykle dużo, ale najważniejszą rolę odgrywał tak zwana „Pani stara“ albo „dworka“, prawa ręka pani domu i jej pomocnica.

Żeby to wszystko w porządku utrzymać i służbę i gospodarstwo, trzeba było posiadać niemały zapas energii, nie można jednak powiedzieć, żeby dawnym Polkom tej energii brakowało; mulier fortis, albo też tak zwana „herod — baba“, nie należały do rzadkości. — ha, nawet często dorównywały mężczyznom: wszak Frycz Modzeński ubolewa nad tem, że „niewiasły polskie zwykły się bardziej, niż przystoi przeciwko męzowi zachowywać“.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Reforma gospodarstwa kobiecego w oświeceniu Targów Poznańskich.

W ustroju gospodarstwa domowego z roku na rok znaczne zmiany i to dzięki różnym praktycznym wynalazkom. W Ameryce gospodarstwo kobiece przeważnie tak jest urządzone, że panie obywają się zupełnie bez pomocy służby, mając przytem białe rączki i dużo czasu na wychowanie dzieci i zaspokajanie własnych potrzeb kulturalno-paukowych. U nas zasadniczą zmianę wprowadziły instalacje elektryczne, gazowe, centralne ogrzewanie, jednakże do ideałów zachodnich bardzo nam jeszcze daleko. Naogół u naszych pań a jeszcze większej mierze u służby zaobserwować można dużą niechęć do wszelkich „nowinek“ z zakresu kuchennego porządkowego. Mam jednak wrażenie, że polega to na zbyt pobieżnym zapoznaniu się z nowościami i stąd nieumiejętnym stosowaniu ich w domu. Targ Poznański przynosił nam niejedno co każda pani domu zainteresować powinno i względnie bez wielkich nakładów w gospodarstwie zastosować może. Na pierwszy plan wysuwała się praktyczne urządzenia kuchni gazowych, niestety dostępne tylko

dla mieszkanek miast. Urządzenia te a więc kuchenki i piecyki do pieczenia demonstrowane przez przedstawicieli Gazowni Miejskiej w Poznaniu, systemu Junker & Ruh z Karlsruhe zasługują na wszelkie uznanie z powodu oszczędnego zużywania gazu. Każde palenisko zaopatrzone jest w podwójny palnik oszczędnościowy o jednym kurku, którego przykrecenia zmniejsza zużycie gazu z 40 ltr. na godzinę. Naczynie z zawartością nastawia się na pełnym płomieniu który obmywa równomiernie jego ściany a skoro tylko się zagotuje zmniejsza się płomień na płomyk oszczędnościowy a utrzymuje potrawę nadal w temperaturze wrzenia. Kuchenki zaopatrzone są w dwa piecyki do pieczenia, z których dolny z rusztem otrzymuje tylko ciepło z góry. Mięso kładzie się wprost na ruszt i piecze bez żadnego tłuszczu, ciepło promieniując wprost na mięso powoduje ścięcie się białka i zamknięcie porów tak, że wszystkie soki pozostają w mięsie. Jak wiadomo mięso w ten sposób pieczone jest najsmaczniejsze i najpożywniejsze. Można także w piecyku mięso piec na różnie, co zasadniczo nie różni się niczem od pieczenia na ruszcie. W kuchni angielskiej, która słynie z wyśmienitych pieczeń, ten właśnie sposób najczęściej jest w użyciu. Z specjalnych przyrządów do pieczenia ciast na gazie podpadają duże okrągłe bratwanny zaopatrzone w dno druciane do pieczenia paczków, taki sam mniej więcej przyrząd do chrustków (faworków), tylko w kształcie nieco odmiennym a mianowicie nie okrągły tylko prostokątny. Dalej są różenka gazowe do pieczenia drzewcy (Baumknechtów) marzenie dotąd niedoścignione dla domów prywatnych, z wyjątkiem dworów wielkich, gdzie zwykle do pieczenia używa się pieca od chleba lub paleniska w kuźni. „Thonox“ niedrogie naczynie aluminiowe umożliwia każdej pani domu upieczenie w przeciągu 45 minut babki na płycie zwykłej gazowej kuchenki a nawet na maszynie spirytusowej. To samo naczynie nadaje się do pieczenia mięsa, przelenia jarzyn itp. Jest to wynalazek fenomenalny i w tak pańszerszej mierze używany być winien. Dodam, że na Targach można było od razu zapoznać się z sposobem gotowania i pieczenia na gazie a nawet kosztować przysmaków przyrządzonych ad hoc. Jako bardzo ekonomiczne w użyciu okazują się naczynie „Deba“ złożone z kilku garnków ustawionych jeden na drugim, szczelnie przystosowanych do siebie i przykrytych jedną wspólną pokrywą. W garnkach tych potrawy gotują się na parze przy użyciu jednego tylko paleniska, przypalenie jest wykluczone a prócz tego potrawy zatrzymują aromat i pożywcze składniki. Komplex naczyń tych może być także z powodzeniem używany na kotłownię węglowej o gładkiej jednolitej płycie, co głównie tam się nadawa, gdzie gotowania jest dużo a płyta kuchenna względnie mała. Naczynia te nadają się także do sterylizowania przyrządów chirurgicznych za pomocą pary. Prócz urządzeń gazowych firm niemieckich wystawiono urządzenia gazowe „Fonderes Nestor Martin“, Bruksela. System ten różni się dużo od urządzeń niemieckich, czy lepszy trudno osadzić, wobec tego, że firma nie demonstrowała gotowania. Nowością są kuchenki kombinowane, które dowolnie jako gazowe lub węglowe używać można. Ta sama firma wystawia za pośrednictwem owego przedstawiciela z Warszawy słynne majolikowe kuchenki do opalania węglem: robiące wrażenie nie piecy kuchennych a wytwornych mebelków. Zaopatrzone są w wszelkiego rodzaju piecyki do pieczenia, kociotki do grzania czy z kurkiem umieszczonym u dołu lub z boku i innymi tego rodzaju ulepszeniami.

Omawiając nowoczesne urządzenia kuchni, wspomnę o aparacie „Saxonia“, reprezentowanym przez polską firmę z Trzemesznej. Aparat ten służy do prędkiego konserwowania jarzyn, mięsa i owoców w słoikach wszelkich znanych systemów: Wocła, Rexa, Giza i innych. Działanie przyrządu polega na wchłonięciu powietrza

znajującego się pomiędzy szkłem a pierścieniami gumowymi (używa się 2 pierścieni) a osiąga się w czasie tak krótkim, że nabywszy wprawy można w przeciągu godziny zamknąć 50—60 słoików.

Przechodząc do nowoczesnego urządzenia pralni, wypada wymienić maszynę do prania „Rumplex“, nadającą się mojem zdaniem specjalnie dla mniejszych gospodarstw. Jest to system, który na zeszłorocznej specjalnej wystawie gospodarstwa domowego w Paryżu, cieszył się wielkiem uznaniem. Poprzednio namoczoną bieliznę wkłada się do maszyny i stawia do balji z wrzątkiem mydlanym, poruszając w tę i tą stronę mlynceczek, znajdujący się wewnątrz maszyny a zastępujący tarkę. W ten sam sposób płucze się bieliznę w balji lub też stawiając aparat pod pompę lub wodociąg. Do wyżymania bielizny używać się powinno wyżymaczek ponieważ wyżymanie ręką zużywa dużą siłę ludzką i oddziałuje niekorzystnie na włókna tkaniny. Na Targach podpadały wyżymaczki „Madame sans Gene“, znanej warszawskiej fabryki Krysstof Brun i Syn Magli kręconych znanych jest kilka systemów, podpadała magiel „Parabola“ do postawienia na stole i dlatego bardzo sympatyczna. Że mało miejsca zajmuje a pracuje równie dobrze, jak duże i ciężkie magie.

Nowością są klamerki do bielizny z sprężynką, wykluczające zerwanie bielizny przez wicher. Z zakresu przyrządów do porządków domowych wystawiona przez tę samą firmę z Bydgoszczy Dux, która wstawia klamerki, gąbki cynowe do czyszczenia garnków, które nie rdzewieją i nie zlepiają się jak ściereki i są daleko trwalsze jak szczoteczki. Z wielkiem zaciekawieniem śledzono na Targach popis aparatu „Tip Top“, wytwórni Pavé we Wiedniu. Przyrząd ten pod nazwą „Triplex“ demonstrowano także w Paryżu. Służy on do umocowania wszelkiego rodzaju szczotek, ścierek i opilek żelaznych. Głównie oddać może świetne usługi przy ścieraniu opilkami posadzki, bo można pracować tą wykonać stojąc. Rzadko już która służąca chce się dzisiaj podejmować tej pracy dla pozycji niewygodnej i niszczenia odzieży, a prócz tego okazało się że praca wykonywana w pozycji kłęczącej i pochylonej wpływa niekorzystnie na organa wewnętrzne kobiece.

Przyrządem „Tip Top“ można myć szyby wysokie, zwilżając je wodą z mydłem lub spirytusem, a następnie założywszy suchą ścierkę, polerować od lewej ku prawej stronie i pionowo z góry do dołu. Zwyczaj stawiania na oknie przy czyszczeniu okien powinno się stanowczo zaniechać, bo był powodem niejednego nieszczęścia.

W końcu zwrócę jeszcze uwagę na preparat reklamowany przez firmę Stuerk i Ska z Bydgoszczy, „Brandolit“ jako uniwersalny środek do czyszczenia. Firma powołuje się na liczne świadectwa instytucji rządowych i miejskich, szpitali, fabryk i drukarni. Preparat jest w płynie lub w postaci pasty i czyści wszelkie zabrudzenia na ciele ludzkim, materiałach, drzewie, metalach, skórze, spowodowane farbą, lakierem, farbą drukarską, olejami, karbolineum, smołą itp. Analiza wykazała rzekomo wszelki brak szkodliwych składników, trucizn, narkotyków i ciał palnych. Na czem działanie polega — tajemnica. W każdym razie jeżeli każda butelka i tuba działa tak jak owa próba, służąca do demonstracji, to działanie środka tego jest wprost zdumiewające.

G. Z.

Ogrody i owoce.

W artykule, zamieszczonym niedawno przez „Kurier Warszawski“, zasłużony dla spraw ogrodnictwa w Polsce profesor Edmund Jankowski porusza nader ważną dla kraju sprawę zwiększenia ilości ogrodów owocowych u nas, oraz

zmnożenia produkcji owoców i najrozmaitszych przetworów owocowych, jak powidła, marmelady, kompoty, owoce suszone, konfitury i wina owocowe. Pisząc w tej sprawie, powiada zasłużony profesor, że dużo jeszcze trzeba będzie posadzić drzew owocowych w Polsce, zanim będziemy posiadali dostateczną ilość owoców krajowych i zanim, wskutek swej obfitości, staną się dostępne dla naszszych mas ludności naszej.

Nazwaliśmy tę sprawę ważną, gdyż jest ona taką istotnie z dwojakich względów. Po pierwsze dążenie do zwiększenia wytwórczości jakiegokolwiek gałęzi gospodarstwa krajowego stanowi plus w ogólnych stosunkach ekonomicznych państwa. Po drugie udostępnienie ogółowi spożywania owoców nie jest tak bagatelna rzeczą, jakby się niektórym, na pierwszy rzut oka, wydać mogło. Do przeszłości należy już przekonanie, że owoce są jedynie smakołykiem i że spożywanie ich jest rzeczą miłą, nie niezbędną jednak dla organizmu ludzkiego. Dzisiejsza nauka, medycyna i higiena, doszła do niezachwianego pewnika, że właśnie owoce są najlepszym i najpożyteczniejszym pokarmem, znacznie lepszym od innych np. od mięsa. W bardzo wielu cierpieniach kuracja owocowa daje znakomite wyniki. Że o tem wiadano coś i dawniej, dowodzi fakt, że słynny nasz bohater narodowy, król Jan Sobieski leczony był przez ówczesnych lekarzy, na jakieś cierpienia przewodu pokarmowego, za pomocą owoców. Wiadomo, jak chętnie jedzą owoce dzieci, mające niespaczonej jeszcze przez nienaturalne życie instynkt smaku.

Województwa nasze Poznańskie, Pomorskie i Śląskie, jako przodujące prawie pod każdym względem reszcie Polski, pod względem rozwoju ogrodnictwa i owocarstwa także kroczą na czele.

Polak z innych województw z zadowoleniem zwraca uwagę, bawiąc w Wielkopolsce, czy na Śląsku, czy na Pomorzu, na pięknie utrzymane przy domach ogrody i na wysadzone starannie drzewami owocowymi drogi, wydychając tylko, czemu to w całej Polsce tak nie jest. Poruszamy jednak w piśmie naszym ten temat, uważając, że sprawy innych dzielnic nie mogą być obojętne dla znanych z patriotyzmu rodaków naszej dzielnicy.

Co robić, aby zbyt powolny rozwój ogrodnictwa i owocarstwa w Polsce przyspieszyć? Jest na to, zdaniem naszym jeden sposób: przymus sadzenia drzew owocowych. Jakkolwiek sam wyraz „przymus“ niemile brzmić może w uchu prawego republikanina polskiego, to jednak zgodzić się musimy, że przymus w wielu razach działa nader dodatnio. Kto dziś np. skłonny byłby potępić przymus szkolny, lub przymus szczepienia ospy? To też wydaje nam się rzeczą zupełnie możliwą, żeby sejm nasz uchwalił prawo, nakazując każdemu posiadaczowi ziemi, zasadzenie określonej proporcjonalnie ilości drzew owocowych. Tak sam przymus zastosowaliby należało i do samorządów, opiekujących się drogami publicznymi, nakazując wysadzać je wszystkimi drzewami owocowymi, uszlachetnionymi. W ten sposób w przeciągu krótkiego czasu dojść będziemy mogli do tego, że owoce krajowych i przetworów z nich będzie w Polsce dostateczna do uprzywilejowania spożywania ich wszystkim, a nie zamożniejszym tylko, jak się to dziś dzieje, obywatelom.

Stanisław Podlewski.

Nauka o zdrowiu.

O tyfusach czyli durach.

ciąg dalszy.

Tyfus powrotny lub dur powrotny panuje zwykle w Irlandji i Rosji, mianowicie tam, gdzie jest bieda nieporządek i przeludnienie mieszkańców, zarazek tej choroby poznany naukowo przed jakimiś 40 laty, przenosi najprawdopodobniej z człowieka chorego na zdrowego czyli przeszczepia go robactwo, przede wszystkim pluskwy i pchły. To też chorobę tą spotykamy najczęściej w nie urządzonych więzieniach, obozach i domach noclegowych, Gorączka w tej chorobie, polegająca na swoistym zakażeniu krwi zarazkiem, trwa

zwyczajnie tydzień, poczem występują poty - lecz po tygodniu znów napad gorączki powraca, skutkiem czego chorobę nazwano tyfusem powrotnym. Dodac jeszcze wypada że choroba ta nie jest tak bardzo niebezpieczna jak poprzednio tyfus brzuszny ani tak groźna jak tyfus plamisty. Jest to jedna z najstraszniejszych chorób a najłatwiej udziela się otoczeniu chorego lekarzom, siostram i służbie. Zarazę choroby tej szerzyć mogą ludzie już w okresie pozornego zdrowia gdy sami jeszcze mimo choroby nie odczuwają. Okres bowiem wylegania się tej choroby wynosi około 20 dni, czyli innemu słowami; człowiek chory, już zakażony, przez 20 dni może być źródłem zarazy dla innych, nie wiedząc o tem,

Przenosić się może zarazek ten przez osobiste zetknięcie się z chorym, jako też przez wszystkie przedmioty użytkowe, pokarmy, powietrze i najczęściej przez waszy, wprowadzając zarazek wprost do krwi.

Stale spotyka się tyfus plamisty w Rosji, Galicji Irlandji we Włoszech i Węgrzech. Chorobę tą nazywano także tyfusem głodowym, ponieważ napada ona bardzo łatwo osobnika cierpiącego głód i niedostatek. Nazwę tyfusu plamistego zaś zawdzięcza choroba ta tej okoliczności, iż po okresie wylegania zjawiają się u chorych takich, najpierw na piersiach i brzuchu potem na nogach rękach a w końcu na twarzy początkowo różowe plamki wielkości główki od spilki błednace za naciskiem: po kilku dniach stają się ciemniejsze nie znikają pod naciskiem palca, zawierają krew, wyłaną i mogą trwać nieraz kilka tygodni, chociaż gorączka - w razie pomyślnego przebiegu choroby już po dwóch tygodniach wśród obfitych potów ginie.

Wysepkę tyfusu plamistego, już wykształconą nazywamy też potociami. Jednorazowe przebycie tyfusu plamistego stwarza u człowieka stałą odporność, to znaczy że człowiek na nią więcej już nie zapada. Stakiej odporności natomiast nie daje choremu ani tyfus brzuszny ani powrotny.

Jest jeszcze jedna choroba zakaźna nazwany tyfusem mózgowym lub tężcem karku, nie mająca z wyżej wymienionym rodzajem tyfusu nic wspólnego. Choroba ta powstaje przez wtargnięcie swoistego zarazka do opon mózgowych i wywołuje zesztywnienie karku.

Prawdopodobnie zarazek dostaje się do ciała drogą ust i nosa; stąd raz unikając należy całowania chorego

i dotykania się wydzielin ust i nosa. No szczególnie choroba ta, jakkolwiek często ma przebieg gwałtowny i zabójczy, ogranicza się zwykle na rodzinie lub na jednym domu.

Hak w ścianie czyli miłość Piotra Iwanowicza.

Było to popołudnie, dzień mglisty i deszczowy, ot taka wiosenna pogoda, co to i pod nogami chlapie - i w dziurawe buty błoto wchodzi i za kołnierz woda leci, a biedaczysko człowiek z westchnieniem o tem myśli, kiedy będzie siedział na suchym stolku, który będzie stał na suchej podłodze - i będzie popijał gorącą herbatę.

Tak sobie też i myślał Piotr Iwanowicz, - a za chwilę siedział w małym, przeróżnymi gracikami zawalonym saloniku Marii Pawłowny. Wszystko naokoło było suche, mile i ciepłe, - nawet sama Maria Pawłowna; nieźrównanie mile były foteliki, obkładane haczkowanymi serwetkami, kanapki małe, jak zabaweczki i gablotka pełna figurek porcelanowych.

Sama Maria Pawłowna miała na sobie ciepły, flanelowy szlafroczek z krótkimi rękawami, z których wyglądały pulchne, różowe ręce. Właśnie tymi rączkami nalewała do szklanki herbatę dla Piotra Iwanowicza.

- Wy, Piotr Iwanowicz, cukru dwie czy trzy? - zapytała, podnosząc głowę.

- Trzy, Maria Pawłowna, jeśli Wasza łaska.

Za każdym razem, kiedy przychodził, pytała go się o to samo, a on za każdym razem inaczej odpowiadał i wtedy Maria Pawłowna się delikatnie uśmiechała.

Piotr Iwanowicz pił wielkimi łykami, parząc sobie gardło i podniebienie i czując, że mu oczy łzami zachodzą i nos czerwienieje do niemożliwości.

- Przeklęty - myślał z rozpaczą - to tak zawsze, a ot i dziś - stwierdził.

Tymczasem Maria Pawłowna pilnie coś haftowała, a była tak pochylona, że widać było jej równo na środku głowy przedzielone ciemne włosy. Mówiła spokojnym głosem:

- Wy Piotr Iwanowicz - to tak zawsze jak po ogień - przyjdziecie, a za chwilę już was i niema. Posiedźcie pogwarzcie, opowiedzcie mi coś ciekawego.

Przeliczyła nitki i mówiła dalej:

- Ot, ciotka Nataszy Andriejewny, to nie tak. - Jak przyjdzie i śladzie, to i do wieczery dosiedzi, - a czasem to i po wieczery o sąsiadach rozpowiada.

Znowu zaczęła rachować.

Widmo w katedrze poznańskiej.

(Z legendy poznańskich).

Widywano go wówczas w kościele, leżącego krzyżem aż do późnej nocy. A gdy wstawał z ziemi, bywał jakiś zwichły i skupiony w sobie. Przebywanie nocą w kościele powtarzało się częściej, a im rumienice gorączkowe kwitły mu ognistej na licach, im słabość ogarniała go większa, tem więcej rosła w nim pobożność, jakby nią chciał zagłuszyć wyrzuty sumienia. Tak trwało długo. Wreszcie choroba dawno przewidywana powaliła go na łożo, z którego już nie wstał.

Nie długo cieszył się dziedzic Powodowa zaszczytnym urzędem, bo w niespełna pół roku po jego objęciu rozstał się z tym światem. I chociaż niedługo mieszkał w Poznaniu, przecież żal oś po sobie wielką między duchowieństwem i ludem zostawił.

Nic więc dziwnego, iż w oznaczonym dniu grzebania zwłok pana Wawrzyńca tłok nastąpił tak wielki w katedrze, że na oścież otwarto wszystkie drzwi do kościoła. Ci, których mury świątyni pomieścić nie mogły, stali z głowami odkrytymi na dworze, by choć z daleka zobaczyć ostatnie posłanie pana Wawrzyńca, srebrzystą trumnę między tysiącem świec.

Stary Szymon, którego ksiądz Konewka przywiózł ze sobą na pogrzeb, stał blisko katafalku. Starowina trząsł się od płaczu i wspinał na palce, by choć raz jeszcze ujrzeć pańskie oblicze. Lecz długie płomienie świec migocząc, zasłaniały umiłowaną postać, leżącą wśród klru.

Wreszcie nabożeństwo dobiegło końca. Na kazalnicy wszedł ksiądz Krzysztof Podkocki, przyjaciel zmarłego, najlepiej życie jego znający. Ucihły modły ludu, ucihł jęk Szymona i oczy wszystkich zwróciły się na mówcę. Długo padały słowa serdeczne z ust kaznodziei, wychwalając życie zmarłego. A kiedy przy końcu zwrócił się do trumny, mówiąc w te słowa: „Wiemy, że już nie wstaniesz, panie Wawrzyńcu, by świecić nam przykładem... jakiś świst przeciągły przebiegł przez katedrę; od dreszczu nagłego zadygotały barki obecnych, chyłąc się ku ziemi.

Nagle coś wionęło i niby fala zimnego powietrza przeszła po kościele, gasząc światła przy trumnie pana Wawrzyńca. Włosy zierzyły się na głowach, trwoga przeszła zmartwiałe ciała. Cisza głęboka zapadła, a mrok gęsty, niby chmura czarna, wypełnił kościół.

Lęk coraz większy począł miotać sercami ludzi.

W tem nagle krzyk przeraźliwy przeszył ciszę katedry i ciało starego Szymona padło jak bez życia. Oczy

W tej chwili Piotr Iwanowicz wstał raptem z krzesła, postawił szklankę na stoliku, i posuwać się zaczął w stronę okna. W tem nagle odwrócił się w bok, przewrócił naprzód stolec, potem dwa foteliki obkładane haczkowanymi serwetkami, potem gablotkę z figurkami, a dokonawszy tych wszystkich spustoszeń, skoczył, i jednym idealnym, wymierzonym susem znalazł się koło Marii Pawłownej, przed którą gruchnął na kolana.

— Ja was kocham Marjo Pawłowno — rzekł głucho.

Maria Pawłowna w pierwszej chwili była ogłuszona hałasem, potem położyła robotę na stoliku, przegładziła rękami włosy i rzekła spokojnie:

— Wie o tem.

— Jakto? — wyjąkał.

Piotr Iwanowicz podniósł do góry swoją twarz, na której malowało się bezgraniczne zdumienie. Zdumione były oczy i usta, w grymasie zdumienia ułożyło się czoło i policzki, nawet zdumienie wyrażał nieco jeszcze czerwony nos.

— Jakto? — powtórzył.

Maria Pawłowna się lekko uśmiechnęła.

— Tak, Piotr Iwanowicz, to nie trudno się domyśleć, ale wy jesteście pewni, że nikt o tem nie wie. — Wy tu często chodzicie — nie słyszycie, co ja do was mówię, za każdym razem ja was pytam Piotr Iwanowicz: cukru dwa czy trzy, a wy zawsze co innego, raz dwa, raz trzy, a nieraz to i jedno — jak wy roztargniony, to znaczy, że wy zakochany. Amafia stróżka mówi: — Ej, ej! Maria Pawłowna, — ten Piotr Iwanowicz — to on i zakochany. Bywa późno chodził w noc pod waszemi oknami, a wzdycha i wzdycha. — Ale — tu machnęła Maria Pawłowna rączką, — ja wam i tak nie wierzę. —

— Ah! Maria Pawłowna, ja was kocham z duszy serca — westchnął Piotr Iwanowicz, któremu w czasie całego przemówienia, powoli z twarzy schodziło zdumienie, a ukazywało się owe przez Marię Pawłownę wspomniane roztargnienie, myślał sobie.

— Jakże ta Maria Pawłowna ma śliczne brwi.

— O, to jeszcze żaden dowód, że wy mówicie, że mnie kochacie, Piotr Iwanowicz.

— Ależ ja was kocham, kocham — powtarzał uparcie.

— To nie jest żaden dowód. Ciotka Nataszy Andriejewna mówi zawsze, „wy nie wiercie mężczyznom, dziateczki — on raz coś powie, a w tem dziesięć razy skłamię“ — a to i prawda.

Piotr Iwanowicz podniósł się z kłęczek i zaczął chodzić z wszelkimi oznakami rozpaczki po saloniku — zręcznie omijając poprzewracane przedmioty.

Maria Pawłowna wzięła do ręki robotę i spokojnie

dalej haftowała, rzucając od czasu do czasu, ukradkowo spojrzenie w stronę nieszczęśliwego.

W pewnej chwili przedmiot jej dyskretniej obserwacji rzucił się ku drzwiom i znikł w przedpokoju, a za kilka minut Maria Pawłowna posłyszła trzaśnięcie drzwi wchodowych i prędkie kroki na schodach. Podniosła na chwilę głowę, posunęła szklankę, żeby nie spadła, bo stała na brzegu, uśmiechnęła się i dalej szyć zaczęła; wiedziała, że znowu jutro przyjdzie.

Od owego pamiętnego dnia, Piotr Iwanowicz, jak tylko wrócił z urzędu, a działo się to około godziny 4-tej popołudniu, zjadał obiad bez apetytu, ocierał niedbale usta serwetą, zapalał jeszcze bardziej niedbałym ruchem papierosa i zaczynał chodzić po pokoju. Zaczynał chodzić i chodził — chodził i myślał, — a chodził naokoło stołu raz w lewo, raz w prawo, — a myślał tak:

— Co by tu zrobić, — co by tu zrobić, żeby Maria Pawłowna uwierzyła?

Wpadał na łóżko, zwymyślał je porządnie, zawracał i dalej chodził.

Czasami w kącie, na skórzanym, starym kuferku, jeszcze z domu, śladywał jego sąsiad Andrzej Agrjakow, paląc fajkę i z flegmą rzucał, olśniewające i „kość pacierzową“ mrozące projekta.

— Piotr Iwanowicz!

— Hm?

— Otruście się czerwonym atramentem.

— Hm!!

— Albo nie. — Zjedźcie kilo nieświeżego kawioru, — albo nie — wiecie co, ożeńcie się z moją teściową, — albo niech was apopleksja trafi...

W tem miejscu zwykle przyskakiwał do niego Piotr Iwanowicz i pieniać się, ryczał:

— Ależ człowieku! zrozum! Ja muszę tak umrzeć, żeby potem móc każdej chwili wstać i powiedzieć: kocham was, Marjo Pawłowno!

— Ha! to nie wiem — mówił tamten w zamyśleniu, i puszczał kłęby dymu.

Aż raz podczas zwyczajnej wędrowki, Piotr Iwanowicz, nie wiedząc po co, podniósł do góry głowę. Podniósł głowę i stanął jak skamieniały. Wreszcie krzyknął:

— Ah!!

Andrzej Agrjakow zdumiał się w kącie na skórzanym kuferku.

— Człowieku, co tobie?

— Tak! — odrzekł Piotr Iwanowicz już spokojny — już mam — pomysł — powieszę się!

Andrzej Agrjakow spojrzał na jego twarz, a potem podniósł głowę do góry i zobaczył hak, duży, silny

zaś ludu zebranego pojawił się widok, od którego krew w żyłach stężała. Oto w kanonicznych stalach stało widmo pana z Powodowa. Tak jak w trumnie leżał, przyodzian w zbroję, tak stał, trzymając w ręce miecz obosieczny. Twarz szara, ziemista, miała wyraz smutny, a oczy zapadłe górzaly światłem niezwykłym, wpatrzone w tłum ludzi. Zgiełk i krzyk napełnił katedrę. Lud w trwodze oszalały, pchał się do wyjścia; duszać się w tłoku, raz po raz spoglądając za siebie.

Widmo wciąż stało, trzymając w ręce miecz obosieczny...

Nie wydała zbrodni czarna ziemia powodowska pole, ale duch dziedzica onej ziemi nie znalazł spokoju po śmierci. Błąkał się widmem przez cały rok i wystawał w stalach, gdzie poraz ostatni za życia, otrzymał przypomnienie serca i myśli, by winę swą wyjawiał. Po roku modłów i nabożeństw ustały dopiero zjawienia, woła Bożą dopuszczone.

Do dziś dnia można oglądać pomnik i nagrobek pana Wawrzyńca Powodowskiego w katedrze poznańskiej, na której taki napis umieszczono:

„Wielmożny Pan Wawrzyńca Powodowski, szlachcic rodem i enotami, wykształceniem i dworską oglądą, kochając Bożą, od młodości sobie wpojona, był

Bogu i ludziom miły. Potem miłością, pobożnością, nauką, mądrością, radą, prawością i innymi zaletami znakomicie obdarzony, służył we wojsku i zostawszy rycerzem maltańskim, dobra tu i w województwie poznańskim położone, jako komandor odebrał i aby w godności swej pełnością prawa był ozdobiony, roku Pańskiego 1531 jak najuroczyściej do kościoła katedralnego przez pierwszego z czcigodnych prałatów wprowadzony, siedzenie młodzi prałatami i kanonikami w spokoju zajął. Wreszcie starością złamany, do onej wiecznej nieśmiertelności, do której tak gorąco wzdychał, przez pobożną i spokojną śmierć przeniesiony, umarł. Po śmierci przez cały rok z grobu wychodził i podczas mszy św. przy wielkim otarzu z wydobytem mieczem pomiędzy stalami prałatów i kanoników, jako też niższego duchowieństwa, w czasie ewangeliji widocznie stawał, przy końcu znikając. Naradziwszy się przeto kanonicy i prałaci, rozmaite nabożeństwa za niego urządzali i upokorzywszy się, świeczniki wielkie za świecami zapalonemi, które stosownie do przepisu ceremoniału akolici winni nosić, sami prałaci, a w ich nieobecności kanonicy najstarsi od słów prefacji „Sanctus“ aż do podniesienia w mszach trzymali i tak ustalo zjawisko“.

czarny hak, prawdopodobnie od lustra, które tu dawniej wisiało. Popatrzył i kiwnął głową.

Uściskali się i rozpoczęli przygotowania — predkie, ale i systematyczne.

W dwie godziny później, do drzwi mieszkania Marii Pawłownej, zadzwonił chłopak i oddał list, który zawierał te słowa:

Marjo Pawłowno!

Jeśli nie chcesz być przyczyną śmierci człowieka nieskazitelного i rokującego wielkie nadzieje, to ratujcie go, bo chce on dzisiaj o 6-stej godzinie umrzeć.

Andrzej Agrjakow.

Adres Piotra Iwanowicza: Plac ziemny 56 u Natalii Alexiejewny.

Maria Pawłowna stała chwilę przerażona, potem pojrzała na zegarek i zobaczyła, że już jest trzy kwadransy na szóstą, potem szybko włożyła papucze na nogi, bo znowu deszcz padał, ubrała się, kazała zawołać lorózkę i pojechała.

Serce jej trochę biło, jak wchodziła po schodach ziemnawych, wyłożonych czerwonym chodnikiem: Na pierwszym piętrze przeczytała na drzwiach: „Natalia Alexiejewna“, a nieco niżej na kawałku rysunkowego papieru: „Piotr Iwanowicz, referent ministerstwa R. P.“

Zadzwoniła i czekała. Wreszcie posłyszała człapanie pantofli, drzwi się otworzyły i ukazała się w nich korpulentna postać Natalii Alexiejewny.

— Czy tu mieszka Piotr Iwanowicz? — spytała Maria Pawłowna.

— Tak jest, serduszek moje — odrzekła z godnością.

— A czy chory?

— Chory? — serduszek moje, — a może — powiedział łagodnie, jak osoba, która się ze wszystkim zgadza.

— Czy mogę się z nim zobaczyć?

— Tak jest, serduszek moje, zaraz, zaraz powiem — i poszła pą w głąb mieszkania.

— Kroki jej ucichły i nagle Maria Pawłowna usłyszała przeraźliwy krzyk łagodnej Natalii Alexiejewny:

— Ratunku!! Ratunku!!!

Nie namyślając się, wpadła do mieszkania, przebiegła przez jedne drzwi, poprzez drugie, i wreszcie dotarła do dużego pokoju z zapuszczonymi storami. Straszny widok przedstawił się jej przerażonym oczom. —

Oto, na haku, wystającym ze ściany, z szyją oplataną sznurem od bielizny, wisiał Piotr Iwanowicz, bledy, z zamkniętymi oczami, i z wykrzywioną rdeludzką twarzą. Maria Pawłowna nie mogła się ze strachu z miejsca ruszyć, nogi jej odmówiły posłuszeństwa, — a Natalia Alexiejewna nie przestawała krzyczeć w niebogłosy:

— Ratunku!! Ratunku!!!

Na to wpada Andrzej Agrjakow, podbiega do Piotra Iwanowicza i zaczyna go szarpać, — wreszcie przystawia sobie stódek, włazi na ten stódek i zaczyna odwiązywać wisielca.

— Pomóście, Marjo Pawłowno! — jęczy Agrjakow. —

Maria Pawłowna odzyskuje siły, podbiega i wspólnie zaciągają nieszczęśliwego na łódko. — Tymczasem Natalia Alexiejewna, która przestała krzyczeć od chwili wejścia Agrjakowa, wybiegła i za chwilę wróciła, niosąc dzbanek wody z octem, plaster, fiaskę z jodyną i wino.

Zaczęli Piotra Iwanowicza nacierać wodą z octem i wlewać do ust wino, zostawiając narazie jodynę na boku. Najbardziej czynną była Maria Pawłowna, której oczy świeciły prawdziwym wzruszeniem; lzy spływały w gardle, a Agrjakow na dobiłek wręczył jej list, który leżał na stole, a był adresowany do niej. Schowała go do kieszeni i pomyślała:

— O! Boże! jaka ja bledna! jaki Piotr Iwanowicz bledny.

Wreszcie Piotr Iwanowicz otworzył oczy i spojrzał, uśmiechając się męczeńsko, na Marię Pawłownę; w ja-

kiś kwadrans potem mógł już mówić, a wtedy krzyknął do Agrjakowa:

— Agrjakow, idźcie naprzeciwko do Mienińskich i przynieście kilo szynki i spirytusu do maszynki — głodny jestem!

— Ah!! Serduszek moje! — krzyknęła Natalia Alexiejewna. — Ja zaraz, zaraz — i poszła pą zaafowana, w głąb mieszkania.

— No, Agrjakow! — powtórzył Piotr Iwanowicz.

— Hm! Idę, idę, — kilo szynki i spirytusu, to jest trzydzieści i piętnaście, a bułki dziesięć — liczył na palcach, wychodząc.

Ledwie ucichły kroki Agrjakowa, wisielec z podziwu godną szybkością zerwał się z łódky, przewrócił po drodze stódek z dzbankiem z wodą, z plastrem, fiaską jodyny i winem, i gruchnął przed Marią Pawłowną na kolana.

— Już wierzyście, Marjo Pawłowno, że ja was kocham?

Maria Pawłowna była bardzo wzruszoną — z prawdziwą trudnością wyszeptała:

— I ja was też, Piotrze Iwanowiczu!

— Ale jak tu ciemno — dodała, poruszając się, — trzeba podnieść story, szkoda jeszcze palić światło.

— O! nie, nie! Marjo Pawłowno, — krzyknął Piotr Iwanowicz — ja jeszcze zdenerwowany, osłabiony — i pomyślał z przerażeniem, co by to było, jakby Maria Pawłowna podniosła story i przy dziennem świetle zobaczyła, jak ma silnie posmarowaną twarz kredą.

— Ah, biedny Wy! — rzekła ona troskliwie — trzeba może po doktora.

— Oh! nie, nie! — krzyknął Piotr Iwanowicz ze strachem — nie znoszę, Marjo Pawłowno, doktorów.

— Ah! ale wy chory, możeby...

Na szczęście wszedł Agrjakow, a za nim Natalia Alexiejewna z półmiskiem zimnego mięsa; za chwilę dziewczyna przyniosła samowar. —

Wszyscy jedli z apetytem, a Agrjakow z łagodną Natalią Alexiejewną zaprosił się na ślub Iwanowicza, który się miał odbyć po św. Jerzym.

R. Y.

Bańki mydlane.

— Pyta mnie pani, czy lubię wieś?... Nie wiem, co na to odpowiedzieć. W każdym razie przenoszę ponad wieś ten oto kącik, w pobliżu pani obok kominka, na którym błękitny płomień liże grube kłody drzewa. I gdybym nie miał żadnych innych przyczyn, aby darzyć panią sympatią, za ten oto kominek uwielbiałbym ją. Staroświecki ten zabytek, znajdujący się w domu, urządzonym tak nowoczesnie, świadczy o dobrym smaku właścicielki, umiejącej połączyć poezję z praktyczną stroną życia.

A teraz możemy rozpocząć rozmowę na temat wsi. Panią interesuje moja opinia w tej materii? Lecz o jakim rodzaju wsi myśli pani. Bo jeśli o wsi prawdziwej, z drzewami, pagórkami, strumieniami szemrzącymi pośród aksamitnych kobierców traw itd., przyznam się pani szczerze, że po pięciu minutowej kontemplacji ogarnia mnie jedno nieprzewidywane pragnienie, powrócić jak najprędzej do miasta.

— Pani się gorszy? Przecież miałem być zupełnie szczery! Jestem podobny do owego Jęgościa nazwiskiem Duernois, który będąc wśród murów miejskich, wchodził namłotnie do górskich szczytów, znalazłszy się jednak na upragnionem miejscu, zaczynał równie namłotnie wzdychać do dźwięku trąbek samochodowych i do szklanki oranżady w swej ulubionej kawiarni.

Obserwowała kiedy pani wybrzeże morskie? Wybrzeże podczas odpływu?

Tak istotnie, pytanie jest nieco naiwne. Chciałem tylko powiedzieć, że gdy widzę zdaleka odpływające fale,

mam nieprzewycięzoną ochotę przejść się po piasku. Przecież, gdy poczuje ziarenka piasku, wciskające się do bucików, oceniam wartość dróg asfaltowych!... Ten przykład mógłbym zastosować do wszystkiego, co się zwie łonem przyrody.

Kocham naprawdę przyrodę, ale pod warunkiem, że wolno mi ją kochać z oddali.

Wsi spokojna, wsi wesola! Uwielbiają cię poci wszystkie epoki i kraje... Kwiaty, ptaki, motyle, śpiew słowika, szum drzew... Ależ zgoda, znam to, widziałem kwiaty, słuchałem świergotu ptaków. Ale to mi nie wystarcza. Mnie potrzeba do szczęścia zupełnie wygodnego fotelu, masę poduszek, abym mógł przybrać wygodną pozycję, ot taką, jak w tej chwili właśnie. Ponieważ jednak poduszki nie są tworem ratury, tylko produktem inteligencji ludzkiej, więc pani rozumie, prawda?

Niechże pani nie spogląda na mnie takim napół rozbawionym, napół przerażonym wzrokiem. Być może, że jestem trochę szalony. Jecz szaleństwo moje jest spokojne i dopóki siedzę zagłębiony w fotelu, otoczony stosem najmniejszych poduszek, kiedy mogę się zaciągać wonnym dymem papierosa, moje wybryki redukują się do słów.

Jeśli pani zmęczona mają gadaniną, proszę mi to poprostu powiedzieć, lub pozostawić mnie. Zupełnie się o to nie pogniewam.

Nie przeszkadza pani dym?... Z pani naprawdę kobieta czarująca. Jestem niepoprawnym palaczem i żądać odemnie, abym wydał o czymś opinię, nie pozwalając mi razem ze słowami wypuszczać z ust kłębow dymu, byłoby rzeczą zupełnie bezskuteczną.

Czy pani wie, jak wieś byłaby znośna? Oto taka wieś z romansu. Mało nawet powiedzieć znośna, wprost pociągająca. Naprzykład wieś z powieści francuskiej fascynuje mnie i oczarowuje. — W pośród drzew stuletnich, na tle soczystej zieleni, wznoszą się wieżyczki zamku. Do zamku prowadzi szeroka, cieniasta aleja. Wybieram się na polowanie, ubrany w stylowy kostium mający przy boku piękną markizę lub baronową... Trąbki dają sygnał odjazdu, kawalkada wyrusza do lasu. — Wieczorem zmieniam kostium na frak, panie ukazują się w głęboko wyciętych sukniach, płynnie tęskna melodia walców: „O Markizo, jaka pani uroczą — ja kocham, kocham jak szaleniec”. — A późną godziną schadzka w laurówce altanie, spacer po długich olejach, zalanych blaskiem księżyca...

Dajcie mi taką wieś, a nie ruszę się z niej aż do końca dni mego życia.

Ale ta wieś prawdziwa, z rojami komarów, legionami zajadłych mrówek i klasycznie ryczącą krową, spoglądająca na mnie z bezmyślną upośzywością, jest to naprawdę zanadto sielskie, jak na mój gust i moje upodobanie. — Cóż pani chce? Ja jestem mieszczuchem i źle się czuję na łonie natury.

A teraz milczcie już, gdyż widzę, że pani przygotowuje herbatkę, a napojem tym należy się rozkoszować w skupieniu. — Dziękuję za cukier i mleko. Kawaleczek cytryny, który użyje herbatce swego zapachu, oto wszystko... Kanapki z korniszonem. Coprawda, wolalby tamte z szynką. — Dziękuję. Jak już powiedziałem poprzednio, należy uwielbiać naturę, patrzeć na nią z oddali, przy boku najpiękniejszej kobiety.

M. S.

Recepty gospodarcze.

Placek wyborowy.

Funt masła utrzeć w donicy na śmietanie. Osobno białko 6 żółtek z 1½ funta cukru, wlać do masła, dodać 1½ funta maki pszennej pierwszorzędnej jakości, trochę mleka i skórki cytrynową z 1½ cytryny. Jeśli

placek ma być bardzo wykwintny, bierzemy się jeszcze ½ funta migdałów oparzonych i zmieszanych i wszystkie razem ubija doskonale. Nakoniec dodaje się ½ funta drożdży, rozrobionych w odrobinie mleka. Jest to porcja na 2 blachy. Placek ubiera się kruszonką i wstawia na kwadrans do pieca, po upieczeniu posypuje się go cukrem z wanilią. Kruszonkę robi się w następujący sposób: ¼ funta maki pszennej, ¼ funta cukru i trochę mniej masła klarowanego wymieszać razem, do dawszy na koniec noża soli jeleniej (Hirschhornsalz). Następnie należy masę odstawić w zimne miejsce, aby stęgła, poczem dopiero rozkrusza się ją na stolnicy i posypuje nią placek przed wstawieniem do pieca.

Anyżki.

Osiem całych jaj wbija się do dużej miski blaszanej na jeden funt cukru i ubija razem trzepaczką na wolnym ogniu, mieszając ciągle i obracając szybko miską, żeby się nie przypaliły. Zaparzać na ogniu należy tak długo aż masa zacznie gęstnąć i jest tak gorąca, że palca już w niej utrzymać nie można. Wówczas wynosi się masę w zimne miejsce, wstawia na łód do zimnej wody studzi zupełnie. W moździerzu tłucze się (nie za miarkę) łyżeczkę od czarnej kawy anyżu i wysypuje do masy po wystudzeniu. Następnie wysypuje się ostrożnie około jednego funta maki pszennej i miesza razem. Mówię dlatego ostrożnie, że nieraz 1 funt bywa za dużo innym razem za mało. Gdy maki jest za mało, ciasto rozlewa się w duże placki, gdy jest za dużo, nie rozlewa się wcale i zachowuje kształt stożka, w jednym i drugim wypadku ciasteczka połysku mieć nie będą. Trzeba więc, dosypując makę, robić próbę, biorąc ciasto na łyżkę i lejąc na talerz. Kiedy ciasto osiągnie właściwą spójność, leje się je po łyżce deserowej na blachę, wysmarowaną i lekko posypaną mąką tak, aby utworzyło okrągłe ciasteczko. Ciasto należy kłaść w odstępach dość dużych, aby się anyżki nie pozlewały razem. Leje się zawsze wolniutko do środka, aby ciastko mogło się powoli rozplynać, a wtedy jest gładkie na wierzchu. Obsuszyć przed upieczeniem najlepiej na słońcu, aby się ciasteczka zeschły, jednakże nie zagrzały. Skoro je można już na blasze posuwać, wstawić do pieca i piec tak, jak omlet. Jeżeli mają połysk, wtedy się udały. Są to wyśmienite ciasteczka, jednakże wymagają pewnej rutyny w pieczeniu.

Wafle plaskowe.

1 funt masła utrzeć na śmietanie, poczem dosypować ¾ funta cukru, 1 funt maki kartoflanej, wbić 6 żółtek, dodać wanilię, mieszając ciągle. W końcu dodać ubitą pianę z białek. Formę do wafli wysmarować masłem lub woskiem, wlać ciasto i piec jak zwykłe wafle na wolnym ogniu.

Wskazówki praktyczne.

Co robić, gdy atrament w katamarzu zblaknie.

Dodać pół łyżeczki soli kuchennej i kilka kropli nocnego octu, a atrament znowu koloru nabierze.

Jak tępić myszy w mieszkaniu.

Najłatwiej wytępić myszy z mieszkania, jeśli się po kątach i szparach rozrzuci świeży lub suszony rumianek i mięta. Myszy zapachu tego nie zniosą i wyprowadzą się z mieszkania, przepojonego zapachem ziół.

Jak niszczyć rdze na blacie.

Trzeba rozpuścić w niewielkiej ilości wody równą ilość soli szczawikowej i kwasu cytrynowego. Gdy trzeba plamę wywabić, rozgrzać łyżkę okrągłą od wody i na niej położyć materiał z plamą, i zwilżyć kilkakrotnie roztworem przygotowanym, a plamy znikną. Wówczas zaraz miejsce po plamie zebrać czystą wodą.

Po czym poznaje się świeże pierze.

Kupując pierze, poznaje się nowe po jego świeżości i elastyczności, czyli puszystości i białym kolorze. Stare pierze bywa zazwyczaj brudno-popielatego koloru, starte i mniej puszyste.

Sposób zlgodzenia bólu przy oparzeniu.

Aby zapobiec formowaniu się pęcherzów po sparzeniu i ropieniu, należy mieć zawsze przygotowany środek — mleko wapienne, to jest wapno rozrasowane do stanu płynnego, najlepiej wrzącą wodą. Ręka najczęściej ulega oparzeniu, wkłada się ją wtedy natychmiast w mleko wapienne, najlepiej ciepłe i trzyma się ją tam kilka minut. Potem trzeba owinąć płótnem zmoczonym w czystej wodzie wapiennej, powtarzając to w miarę potrzeby. Na świerzby skóry, a nawet pryszczki dobrze skutkuje: łyżka lnianego oleju, łyżka śmietany i jedno białko, utrzeć to wszystko na masę, smarować grubo na czyste płatki i okładać miejsca oparzone. W razie braku oleju lnianego, można go zastąpić czystą prowancką oliwą.

Rzeczy ciekawe.

— **Wartość pracy domowej.** Jedno z pism amerykańskich przeprowadziło wśród swoich czytelniczek ankietę na temat: „Ile jest warta praca domowa kobiety zamężnej“.

Najciekawszą odpowiedź nadesłała żona pewnego fermiera, która — jak pisze — wyszła przed 30 laty za mąż i przez cały ten czas dzielnie dopomagała swemu mężowi, zajmując się gospodarstwem i wychowaniem kilkorga dzieci. Oto jest statystyka jej czynności domowych, prowadzona nader skrupulatnie:

Przez cały czas swego pożycia małżeńskiego wykonałam cały szereg prac gospodarczych, z których wyliczę tylko te, co się najczęściej powtarzały.

Przyrządziłam i podałam 235,425 porcji obiadowych, upiekłam 33,190 bochenków chleba, 5,930 tortów, 7,960 placeków usmażyłam, 1,550 litrów soków, zrobiłam 5,450 funtów masła, wychowałam 76,630 kurecząt i poświęciłam ogółem 36,461 godzin na czynności takie jak: czyszczenie, sprzątanie, pranie, szycie, cerowanie i gotowanie.

Jeśli obliczyć w przybliżeniu wartość pieniężną tej pracy według najskromniejszych norm, płaconych robotnikom niewykwalifikowanym, to wyniesie ona sumę 125,458 dolarów. Oczywiście nie potrzebuje chyba dodawać, że nie otrzymałam za nią ani centa. Nie przeszkadza mi to jednak bynajmniej, i gotowa jestem, o ile Bóg mi da zdrowie i siłę, drugie 30 lat pracować nad wykonaniem tych samych czynności dla męża i dzieci, które nadewszystko kocham i praca dla nich nie wydaje mi się zbyt uciążliwą.

Humor.

Wdzięczny dentysta.

Dentysta (zwracając się do rybaka, który go wyciągnął z wody):

— Dziękuję ci serdecznie, mój kochany! Ocaliłeś mi życie!... Czem mogę się tobie odwdziaczyć?... Jeśli chcesz, wyrwę ci wszystkie zęby bezpłatnie!

Trudno odpowiedzieć.

— Bardzo jestem ciekawa Salciu, jak się nazywa twój przyszły małżonek?
— To trudno powiedzieć.
— Jakto?
— Bo dawnego nazwiska jeszcze nie używa, a nowego jeszcze nie zatwierdził.

Wpływ wiosny.

Profesor, który wychodząc, włożył przez roz-targnienie na głowę kapelusz córki:

— Jak to jednak wiosna potrafi wszystkich roz-weselić. Na kogo spojrzę, wszyscy się śmieją.

Po ślubie.

Młoda żona do męża: A więc teraz wiem, że poślubiłeś mnie jedynie z tego powodu, ponieważ ja miałem pieniądze.

Mąż: Nie!... ponieważ ja ich nie miałem.

Omyłka druku.

Na butelce z lekarstwem naklejono kartkę: „Przed użyciem wytrząsnąć“.

Specjalista.

Doktor: Kiedy pan ma napady melancholii?

Urzędnik: Każdorazowo przy końcu miesiąca.

Doktor: W takim razie ta melancholia pochodzi od żołądka.

Interview.

Dziennikarz do podróżnika: Co pana sprowadza do Polski?

Podróżnik: Moja ciekawość.

Dziennikarz: A co pana może spowodować do wyjazdu?

Podróżnik: Pańska ciekawość.

Złośliwy.

Podłotek: (do uczonego profesora zoologii): — Jak pan profesor jest już daleko ze swoim dziełem o zwierzętach?

Profesor: — Jestem właśnie przy gąsce.

Może.

— Powiedz mi Janku, czy dziadek może awansować?

— Owszem.

— A czym wtedy zostanie?

— Pradziadkiem.

Dobry mąż.

— Jutro resztę pani opowiem, bo teraz spieszę się do ślusarza.

— A dlaczego pani tak pilno?

— Wodociąg nam się popsuł i mąż trzyma swój palec na kranie, póki ślusarz nie przyjdzie.

Gość uskarżał się u właściciela restauracji, że podano mu zepsute i cuchnące jajka.

Na to odparł restaurator:

— Panie! Teraz nie tylko między ludźmi, ale i między kurami panuje wielkie zepsucie i oszustwo, tak, że teraz kury często zepsute jajka noszą.

Żona: — Po pierwsze kapelusz za tani, a po drugie wyglądam w nim, jakbym nos miała spuszczonej na kwintę.

Mąż: — Nie! przeciwnie. Po pierwsze za drogi, a po drugie to ja nos spuszczałam na kwintę.

Pilot do pasażera w czasie upadku samolotu.

— Bez strachu panie, spadamy na fabrykę materacy.

— Jakże mogliście zamordować tę nieszczęśliwą kobietę dla marnych 50 groszy?

— Panie sędzio! Kto gardzi małym, nie wart dużego.